

Heintsch, Paweł

Nasza parafia w oczach księdza Pawła

Przegląd Pruszkowski nr 2, 105-115

2008

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Paweł Heintsch

Ksiądz poeta – w książce „Wilki, owce i pasterze” opisuje pobyt w Pruszkowie

Nasza parafia w oczach księdza Pawła

Propozycja księdza prałata Piotrowskiego nosiła piętno niejasności. Powiedział on: – mam coś dla księdza. Pruszków. Rozwojowa parafia. Tylko trzeba szybko działać. Bo opróżnia się mieszkanie i musi ksiądz zaraz je zająć. – Poprosiłem o adres i czas do namysłu. Ten adres: Pruszków Wschodni, ulica Partyzantów 15. Pojechałem zorientować się w sytuacji. Plac był dość duży. Na furcie wisiała tabliczka informacyjna: „Własność Kurii Metropolitalnej Warszawskiej”. Dom to był przedwojenny. Właściwie szpital prywatny, należący do niejakiego Goldberga. Po wojnie został zamieniony na bursę dla młodzieży. W budynku wybuchł pożar. Pozostało po nim 36 izb nadających się do zamieszkania. Większość tych pomieszczeń zajmowali tzw. dzicy lokatorzy. Jeden z lokali zajmowało miejskie przedszkole. Znajdowało się ono na piętrze, a naprzeciw mieszkała córka Goldberga z mężem i dziećmi – Zielińscy. Sprzedali plac i posesję Kurii warszawskiej, księdzu kanonikowi Franciszkowi Bujalskiemu konkretnie, przed wojną kapelanowi szpitala Tworki. Szpital ten znajduje się na terenie owej, jak określił ksiądz prałat Piotrowski, „rozwojowej parafii”.

Jako kapelan szpitala tworkowskiego, ksiądz kanonik Bujalski miał przed wojną czteropokojowe mieszkanie, 400 zł pensji



miesięcznie, pełne wyżywienie i obsługę siostr szarytek, zatrudnionych jako pielęgniarki. Po wojnie wszystko uległo radykalnej zmianie. Szarytki zostały zastąpione personelem świeckim. Ksiądz prymas Wyszyński niedługo po swej nominacji na arcybiskupa warszawskiego wizytował liczne parafie i gdzie mógł wydzielał nowe. W czasie wizytacji parafii Pruszków ustanowił filię parafii Żbików. Cały Pruszków niegdyś do Żbikowa należał. Ksiądz Bujalski został mianowany rektorem nowo utworzonej filii – tj. parafii, na którą jeszcze nie wyraziły zgody coraz bardziej niechętnie Kościołowi czynniki państwowe.

Na terenie szpitala były dwie kaplice. Ta wewnątrz szpitala – dla siostr pielęgniarek. Druga – w murze okalającym szpital – z własnym wyjściem na zewnątrz. Mały kościółek w stylu bizantyjsko-romańskim. Szpital był budowany w okresie rozbiorów przez władze carskie. Kaplica wewnętrzna była katolicka, zewnętrzna – prawosławna. Tę, jak wieść gminna niosła, budował katolik obrządku ormiańskiego, zuchwale rozpowiadając, że nadaje tej cerkwi taki styl, aby katolicy nie mieli później kłopotu z jej przerebieniem na swoją świątynię.

Ksiądz Bujalski w tej zewnętrznej kaplicy msze święte odprawiał dla chorych szpitala, lecz mieszkańcy z okolicy mogli dyskretnie uczestniczyć. Po powołaniu filii i nominacji na rektora, próbował uczynić kaplicę oficjalnie publiczną. Otworzył bramę zewnętrzną i udzielił ślubu. Miała to być jakby inauguracja nowej placówki. Ale dyrektorem szpitala był przewodniczący związku ateistów i wolnomysłicieli, dr Kaczanowski, i zareagował natychmiast. Kazał zaryglować bramę do kaplicy i księdza Bujalskiego usunął z terenu szpitala. Ksiądz zamieszkał prywatnie przy ulicy Narutowicza i zabiegał potem o kupno placu i o budowę kościoła. Plac został zakupiony i budynek po pożarze z przedszkolem w spadku. Ale na zezwolenie budowy kościoła nie było w tym czasie co liczyć. Kaplica szpitalna dawała jakiś punkt zaczepienia. Odprawiała się msza święta dla chorych i mieszkańców Pruszkowa

Wschodniego marzących o własnej parafii. Dzielnica liczyła pięć tysięcy mieszkańców, ale mówiono o budowie wielkiej autostrady mającej tam właśnie przebiegać. Byli właściciele posesji wyprowadzali się wybudowawszy sobie willę.

Przyjęła mnie pani Zielińska. Dowiedziałem się, że ksiądz Bujalski do opuszczanego przez nią lokum nie chce się wprowadzić bo na starym miejscu jest mu dobrze. Ale tam właściciele domu, w którym mieszka, nie są mu przychylni i czekają aby umarł albo się przeprowadził, bo potrzebują mieszkania dla syna, który właśnie się żeni. Następca księdza Bujalskiego nie ma co liczyć na ten lokal, a wynająć coś na mieście jest trudno. Nie wiadomo także jak zareaguje urząd kwaterunkowy. Zdecydowaliśmy, że nie będziemy w tej sprawie nikogo pytać, ale odwołamy się do prawa własności. Zielińscy się wyprowadzą 3 marca rano, a ja w południe będę już mieszkańcem tego pomieszczenia. Powiadomiłem księdza proboszcza parafii św. Kazimierza o tych planach w przeddzień całej tej operacji.

Ksiądz Jan Górny do niedawna proboszczował w Lipcach Reymontowskich.

Obstalował dla tamtejszej świątyni witraże paru świętych, a wśród nich umieścił księdza kardynała Stefana Wyszyńskiego. Zaprosił Prymasa na poświęcenie. Księża dekanalni myśleli, że Prymas się pogniewa i uzna to za zbyt pochlebne. Ale po ceremonii i obiedzie ksiądz Kardynał powiedział: - No, Jasiu, chodźmy zobaczyć MNIE... – Wkrótce ksiądz Górny, jakby w dowód uznania, otrzymał parafię Pruszków i musiał ją „zdobywać”. Nie było to zadanie łatwe, poprzedni proboszcz, ksiądz Edward Tyszka, był lubiany przez duchowieństwo dekanatu i wiernych. Miał przy sobie jako rezydenta brata „Wacusia”. Zaprzyjaźnili się z księdzem Bujalskim, nazywano ich „świętą trójcą”.

Ksiądz Tyszka zbudował pruszkowski kościół pod wezwaniem św. Kazimierza, imponujący rozmiarami i konstrukcją architektoniczną. Nowy proboszcz, ksiądz Górny, przejmując parafię podob-

no zażartował: – Jadło się, piło, grało w karty, a diabeł pomagał... – Ksiądz Tyszka nie znał się na żartach, obrażony do żywego odeślał Prymasowi swoje kanonickie insygnia.

Tak więc ksiądz Górny był w stanie wojny z resztą dekanatu, a ja znalazłem się w dwuznacznej sytuacji – jakbym mu został przysłany do pomocy. Wkrótce okazało się, że nasze cele nie są zbieżne. W czasie przyjęcia propozycji czekała mnie kłopotliwa walka na kilka frontów, ale Ostrówek z kapryсами i fochami sióstr zakonnych oraz długiem do spłacenia w kwaterunku był dla mnie stracony. Pojechałem do Kurii i wyraziłem zgodę na Pruszków. Poszedłem do księdza prałata Piotrowskiego i prosiłem, aby włączono do nominacji zastrzeżenie: „z zamieszkaniem w domu należącym do Archidiecezji Warszawskiej przy ulicy Partyzantów 15”. Uczyniono zadość mojej prośbie i zdanie to stało się podstawą do późniejszych pertraktacji.

Dzień przeprowadzki był wyjątkowo brzydki. Cały czas padało. Przewoziłem rzeczy ciężarówką bez plandeki. Przykryłem meble brezentowymi płachtami. Kiedy z nimi zajechałem już czekali: blokowy, kierownik kwaterunku i ktoś tam jeszcze. Wszystkimi siłami próbowali mi przeszkodzić. – Panowie – powiedziałem – mam tu skierowanie od właściciela. – Ale to nie jest lokal wyjęty spod kwaterunku – brzmiała odpowiedź. – Nie będziemy teraz dyskutować o przepisach. Meble mi mokną. A potem... Przecież wy macie siłę, nie ja ... Uśmiechnęli się i odeszli. Przyczółek został zdobyty. Jednak mieszkanie wymagało remontu. Nie miało instalacji elektrycznej, do wymiany instalację wodociągową. A ściany? Szkoda gadać. Nie ma czasu na szczegóły.

Następnego dnia odprawiłem Mszę świętą w kościele św. Kazimierza. Tymczasowo stołowałem się u księdza Górnego. Oczywiście na prawach wikariuszowskiej odpłatności.

Wikarymi w Pruszkowie byli wtedy – ksiądz Marian Pieńkos, mój kolega kursowy z seminarium i socjusz z Rembertowa oraz ksiądz Stasio Smolaga, którego w Rembertowie wymieniłem.

Ksiądz Stasio miał piękne hobby: robił modele wojskowe, poczynając od żołnierzy różnych formacji historycznych i współczesnych po wszelkiego rodzaju ciężki sprzęt bojowy z pojazdami mechanicznymi włącznie; majsterkował z wielką pilnością i starannością, miał tego pełen regał. Mówił, że to matka go namówiła, by został księdzem, ale on miał zawsze pociąg do wojska i służby wojskowej. Pragnąłem mieć dobry układ z księdzem Górnym. Widać było to zauważalne, bo kolega Smolaga po pewnym posiłku tak to skomentował: - To jest – mój drogi, oswajanie kota... – Nie dopowiedział. Dobrze znał swego pryncypała. Był jego uczniem w szkole średniej.

Musiałem zająć się młodzieżą i dziećmi z mojego rejonu, nauką religii i przygotowaniem do pierwszej Komunii świętej. Wniosłem także podanie do urzędu gminnego o przydział mieszkania, które użytkowałem. Przystudiowałem dokładnie prawo lokalowe. Był właściciel posesji, pan Zieliński, był prawnikiem, udzielił mi wielu cennych rad jak toczyć walkę o przydział. Wszystkie moje podania zostały jednak odrzucone. Potem zaczęły nadchodzić nakazy eksmisji. Odwoływałem się do coraz to innych instancji wciąż z negatywnym skutkiem. Jednocześnie wyjaśniałem kolejne uprawnienia wynikłe z lokalizacji i sprawowania kapłańskich funkcji.

Dyrektor szpitala, dr Kaczanowski, posunął się do tego, że zabronił mi odprawiać codzienną Mszę św. w kaplicy szpitalnej. Uzyskałem wtedy zezwolenie od swoich władz kościelnych na sprawowanie czynności kapłańskich w moim mieszkaniu. Właściwie jeden z pokoi zamieniłem na kaplicę. Dokonałem także gruntownego remontu obu pomieszczeń. Mieszkanie stawało się coraz ładniejsze. Przyszła nominacja na rektora filii parafii żbikowskiej pod wezwaniem św. Edwarda*. Ksiądz Bujalski przekazał mi depozyt tej filii w obecności Dziekana. Pełnił tę funkcję wówczas proboszcz z Ożarowa. Przejąłem ornaty, kapy, bieliznę kościel-

* Ksiądz Bujalski pragnął, by parafia była pw św. Edwarda, a kościół pw św. Franciszka z Asyżu (przyj. red.)

na, kilka cennych obrazów, piękne świeczniki, a nade wszystko – wspaniałe kielichy, dzieło mistrzów wiedeńskich z roku 1729: anioł podtrzymuje delikatną złoconą (może nawet złotą lub platynową) czarę. Wyposażenie kaplicy szpitalnej pochodziło z daru księdza arcybiskupa Chościak-Popiela z czasu gdy po zbudowaniu szpitala erygowano w nim kaplicę katolicką. Wraz z tym depozytem rzeczowym otrzymałem mocno skromną resztę pieniędzy ze zbiórki na kupno placu. Mogłem pokryć koszt remontu i uiścić dług „honorowy” w wołomińskim urzędzie finansowym.

W domowej kaplicy życie religijne potoczyło się bez przeszkód. Codziennie odprawiałem Mszę św., chrzciliem dzieci, błogosławiłem związki małżeńskie. Ze względu na zamknięty charakter tego obiektu sakralnego zgłaszali się do mnie często policjanci z prośbą o załatwienie dyspensy i lokalizację dla ich ślubów i chrztów w moim sanktuarium. Radość z takiego obrotu rzeczy długo nie trwała. Ktoś doniósł po kilku miesiącach co się u mnie dzieje. Urząd Miejski zabronił mi wykonywania czynności sakralnych w moim mieszkaniu.

Szpital był miejscem dość ponurym. Idąc wzdłuż jego szarych murów często słyszałem przeraźliwe krzyki chorych. Tak mi się z początku zdawało. Potem dowiedziałem się, że w obrębie szpitala dyrektor Kaczanowski hoduje pawie i one mają taki nieprzyjemny głos.

Chorych pacjentów szpitala odwiedzałem na każde życzenie krewnych. Oprócz tego lekarka, opiekująca się najczęściej chorymi kobietami, żona przedwojennego dyrektora tej placówki medycznej organizowała spowiedź i komunię św. w pierwsze piątki miesiąca dla swoich pacjentek. Pawilon ten oznaczony cyfrą 2 nosił w żargonie szpitalnym miano „wykańczalni”, ponieważ osoby tam umieszczone oprócz odchyłeń psychicznych obciążała jakaś inna choroba nieuleczalna, np. – zaawansowana gruźlica lub nowotwór. Były tu także osoby w bardzo podeszłym wieku. Zajmowałem więc miejsce w wyznaczonym na ten cel pomieszczeniu

i podchodziły kolejno penitentki, a ja miałem oceniać czy można im udzielić sakramentów czy stopień ograniczenia świadomości już to uniemożliwia. Problem ten dotyczył zresztą wszystkich chorych tego szpitala. W „wykańczalni” ułatwiała zadanie wcześniejsza selekcja dokonana przez panią doktor. Kobiet przychodzących w pierwsze piątki było kilkanaście i mimo zachowania ostrożności zdarzały się sytuacje bardzo kłopotliwe. Pewnego razu po spowiedzi przystąpiłem do rozdawania Komunii św. Nim się spostrzegłem jedna z chorych zaszła mnie od tyłu i dmuchnęła z całej siły w patenę zawierającą komunikaty. Musiałem – bez mrugnienia okiem – schylić się, pozierać komunikaty z podłogi i dokończyć swoich czynności. Ogółem łącznie zaopatrywałem w sakramenty około 400 chorych. Dla porównania – na wiejskich parafiach, jakie obsługiwałem potem i jakie obsługuję obecnie, mam po kilkanaście wizyt u chorych rocznie. Ale ten kombinat szpitalny mieścił kilka tysięcy pacjentów.

W ferworze tych zadań nie zaniedbywałem zadań nadobowiązkowych. Na Uniwersytecie Warszawskim zostałem przyjęty na studia zaoczne. W pewne dni jechałem do Warszawy i w Bibliotece Uniwersyteckiej uzupełniałem zaległe lektury przygotowując się do egzaminów. Udało mi się także nawiązać dla mnie bardzo istotne kontakty dotyczące literackich publikacji. Idąc za tropem recenzji „Niepowrotnych godzin” w „Więzi” dowiedziałem się, że dział poetycki w tym piśmie prowadzi Halina i Jerzy Krzysztonowie – ona z domu Pamfilowicz; moi koledzy z Sekcji Twórczości Własnej na KUL. Jurek Krzysztoń na konkursie zorganizowanym przez księdza Rektora Antoniego Słomkowskiego zaprezentował nowelę „Ręce”. Było to tym bardziej dramatyczne (a nawet szokujące), że on właśnie stracił na wojnie lewą rękę aż po ramię. Tekst był przejmujący i zyskał mu wtedy pierwszą nagrodę. A był to czas, gdy starsi koledzy z Sekcji pokończyli studia lub przenieśli się na inne uniwersytety, a ja żegnałem się z KUL. W czasie pożegnania przekazałem mu prywatnie opiekę nad tym ko-

leżeńskim zespołem. Ja ten zespół tego czasu „zgalwanizowałem” i czułem się jakoś tam, słusznie czy niesłusznie, odpowiedzialny za to koleżeńskie grono. Sekcja ta – jako całość zaznaczyła mocno swoje istnienie w historii KUL Lublina; startowali w niej pisarze znaczący w kraju. Halina Pamfilowicz, żona Krzysztonia, po moim wieczorze „sławy” podeszła jako szczupła blond-nastolatka do mnie na korytarzu Uczelni i poprosiła o odpis wiersza „Ballada o lipcowym wieczorze”, który jej się bardzo podobał.

(...) Na pierwsze spotkanie po latach z Krzysztoniem zaniósłem paranoicznie – ironiczny poemat napisany w pasji dla odreagowania – i obrony swoich racji – po przeczytaniu wyżej wspomnianych negatywnych recenzji. Zatytułowałem go „Aelinopean”. Nie był to utwór w stylu tego pisma i – nie wnikając w jego genezę – zażenowana Halina zapytała czy nie mam innych nowych wierszy. Na drugie spotkanie przyniosłem „Grunwald”, „Kościół w Krośniewicach” i „Wzór listu do poety”. Po ich przeczytaniu Halina pojaśniała i rzekła: – Wiesz Paweł, bardzo się cieszę, że te wiersze są dobre.. – I tak ukazała się moja pierwsza publikacja w „Więzi”, a po niej następne.

Tymczasem toczyła się walka o istnienie filii parafii Żbików pod wezwaniem św. Edwarda. Sterował nią osobiście Ksiądz Prymas. Nie musiałem wносить podania o audiencję. Wystarczyło, że zameldowałem się u księdza Prałata Padacza i w tym samym dniu, po godzinie byłem już w gabinecie Księdza Kardynała. Wtedy w ramach walki o wolność Kościoła bulwersowały jego władze dwie ważne sprawy – parafia przy ulicy Dickensa, gdzie działał ksiądz Romuald Kołakowski i moja filia przy szpitalu Tworki. W poczekalni prymasowskiej często się więc spotykałem z wymienionym księdzem.

Miałem podstawy przypuszczać, że przeciw egzystencji filii sprzymierzyło się kilka osób. Dyrektor szpitala dr Kaczanowski z racji swoich ateistycznych poglądów, niejaki Hill, przewodniczący rady miejsko-powiatowej, bo tak mu nakazywano z góry. A ksiądz proboszcz Górny nie szkodził, ale przez przemilczenia uzyskiwał preferencje i korzyści dla swego terenu.

Po odrzuceniu moich podań w powiecie zwróciłem się do wyższych instancji. Wreszcie do samego ministra gospodarki komunalnej. Był nim wówczas niejaki Sroka. Ksiądz Edward Tyszka, wciąż jeszcze obecny, chociaż osłabiony (brata, księdza Wacusia przyjęto do domu emerytów), ksiądz Bujalski stracił filię i szpital, „święta trójca” się rozleciała, a więc ksiądz Tyszka zrozumiał – żeby użyć metafory z powieści i filmu „Most na rzeczce Kwai” – że nie atakuje właściwego „pułkownika”. Inaczej mówiąc, że to ja mam zadanie tworzenia parafii przez niego zainicjowanej – i nawet noszącej jego imię – a nie ksiądz Górny. Przyszedł do mnie z propozycją, że udzieli mi pomocy. Był związany z grupą działaczy CHSS, byłych oficerów AK. Z ramienia stowarzyszenia, jego ówczesny przewodniczący, Filipowicz, był posłem do sejmu. Dziekan Tyszka mi go przysłał. Przyjechał z okiem zasłoniętym czarną opaską i zaproponował mi sejmową interpelację w sprawie przydziału mieszkania i placu pod budowę kościoła dla filii żbikowskiej parafii. Odpowiedziałem, że muszę się poradzić biskupa. Nie wiem czemu, ale przyjął mnie wtedy nie ksiądz Prymas lecz biskup Jerzy Modzelewski. Wysłuchał mojej relacji i orzekł: - Nie będziemy korzystać z tej interwencji... – Wobec tego schowałem wiosła i pozwoliłem, aby niosła mnie fala.

(...) W dniu egzekucji, czyli eksmisji, zaproszono mnie na pogrzeb chorego ze szpitala. Codziennie wywożono stamtąd zmarłych, a kapelana nie zapraszano. A tu nagle – konieczny kapelan. A ma być pochowany katolik, ale na protestanckim cmentarzu. Było dla mnie jasne, że jakieś mocne palce, i to z bliska, wspomagają egzekutorów PRL. Mogłem co prawda powiedzieć moim parafianom aby obstawili obiekt i zastosowali bierny opór lub może nawet czynny, ale zdawałem sobie sprawę, że to na tym etapie nie odniosłoby skutku oprócz ofiar w ludziach, aresztowań, więzień. Miałbym to na swoim sumieniu. Zresztą wszyscy moi, że tak powiem „aktywiści”, czyli sojusznicy wspólnej sprawy, otrzymali na ten dzień wezwanie na milicję. Zaś „praworządnych” wykonawców egzekucji było co niemiara. I tak pod nieobecność właściciela włamali się do jego mieszkania.

Kiedy samochód pogrzebowy przejeżdżał tamtędy cały teren był obstawiony przez milicję. Siedemnaście wozów i karetka pogotowia z lekarzem. Firanki już znikły z moich okien. Buszowali wewnątrz do woli. Byłem bezradny.

Po pogrzebie z cmentarza do Pruszkowa nie wróciłem. Niech się pomartwią i niech się boją – pomyślałem z odrobiną złośliwej satysfakcji. Wsiadłem jak stałem w pociąg i pojechałem do Częstochowy. Na Jasnej Górze kilka dni odpocząłem i odprawiłem swoje prywatne rekolekcje. Sprawcy wydarzeń w Pruszkowie szaleli z niepokoju. Radio Wolna Europa pytało: „Gdzie jest ksiądz Heintsch? Co zrobiliście z księdzem Heintschem?” na tamtym etapie o wiele mniej nośna była informacja. Ale ja czułem, że etatu męczennika dla mnie Bóg nie przygotował. Kiedy wróciłem i ujawniłem się, ulga była wielka; na drugi dzień do mieszkania zastępczego przy ulicy Kraszewskiego 43, gdzie zostały przerzucone moje rzeczy, przyszedł urzędnik z wydziału kwaterunkowego i wręczył mi nakaz własnościowy, dla mnie i dla mojej mamy, czyli przydział na to zastępcze mieszkanie. Trzeba przyznać, że wszystko było opakowane porządnie i że nic wtedy z depozytu kościelnego nie zginęło. Ja również przekazałem ów depozyt nienaruszony w ręce mego następcy, księdza Romana Indrzejczyka wraz z mieszkaniem, telefonem i dobrą rekomendacją u parafian.

W Pruszkowie napisałem między innymi „Stacje Drogi Krzyżowej”, które weszły do Antologii wydanej przez księgarnię św. Wojciecha. Utwór ten był opublikowany kilka razy, między innymi w „Przewodniku Katalickim” i w „Mariackim Hejnale”. Samą zaś Antologię wznowiono, ponownie ponieważ było na nią zapotrzebowanie. Obok tego powstał wiersz „Pruszków Wschodni”.

Do szpitalnej kaplicy dojeżdżałem kolejką EKD. Czasem na rowerze. „Mifę” zamieniłem na węgierską „Matrę”. Msze święte odprawiałem teraz w kościele św. Kazimierza. Z różnych względów coraz mniej wszystko było możliwe i wygodne. Jeszcze wytrzymałem jakiś czas jako zwycięzca „odzyskawszy pole”, ale niezbyt

sprzyjająca atmosfera męczyła mnie i demobilizowała, narastało znużenie i niepokój. Przetrwałem od wiosny 1961 roku do jesieni 1964. Potem poprosiłem o wikariat warszawski. Głodny byłem i spragniony Warszawy pod każdą postacią. Studia. Egzamin. Redakcja. Kultura. Wszystko to się dla mnie wtedy bardzo liczyło.

Warszawa odbudowywała się na moich oczach. Tak jak cały naród, cieszył mnie każdy wzniesiony dom, każda nowa ulica, szkoła, muzeum, galeria sztuki. Nawiązałem kontakty z kolegami z kulowskiej Sekcji Twórczości Własnej to jest przede wszystkim z Haliną i Jerzym Krzysztoniem, ze Zdzisławem Łączkowskim, z Anką Kowalską. Z niektórymi bywałem w teatrze i na różnych imprezach kulturalnych. Rozmowy nasze dotyczyły głównie spraw literackich zwłaszcza poezji, ale Jerzy robił już duże i znaczące kroki w prozie chociaż nie wszystko drukował. Ja także chodząc po stolicy, jak zwykle, jak mam we zwyczaju, układałem swoje wiersze najpierw w myślach, w głowie; gdy były gotowe przenosiłem je dopiero na papier. Jest to męczący, wyczerpujący i mało efektywny system pracy, ale takie są moje zwyczaje. Nie tyle ufam emocjom co pracy umysłowej, obróbce warsztatowej, zwłaszcza gdy zacząłem stosować, wypróbować, doskonalić nowe poetyckie konwencje.

Cofnąć się jeszcze wypada do wizyty księdza Prymasa po pamiętnym wyrzuceniu mnie z lokalu przy ulicy Partyzantów. Nie musiałem się żalić, relacjonować szczegółów, wszystko wiedział. Z ambony zganił księdza Górnego za brak opieki nad borykającą się z trudnościami sąsiedzką placówką. Wyraził mi uznanie za postawę w czasie eksmisji. Potem na plebani kręcił głową i groził palcem patrząc na księdza Górnego. – Oj Jasiu, Jasiu.... Mnie uściśnął na pożegnanie i powiedział: - Pochwaliłem ciebie, ale cię jeszcze nie kanonizowałem. A pamiętaj, że zazdrości nie unikniesz... – Ksiądz Górny doczekał się jednak chwalebnych różnych godności, a ja nadal szedłem swoją cierniową drogą.